



WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA
MIASTA WARSZAWY
BIBLIOTEKA
Zamówienie na wydanie
Nr 11-9
4 VI 69
data

LUSTRA

To był dziwny pokój. Gdzie spojrziałem- wszędzie była ona: pod ścianami, na podłodze, w oknach; siedziała na każdym krześle, kuliała się w kącie, przycupnęła na kulawym ze starości tapczanie, nawet spoglądała na mnie z sufitu. Codziennie postaci jej zwielokrotniały się, mnożyły w dziesiątki, setki, krocie... Dostawałem zawrotu głowy: pokój, wypełniony jej postaciami, wirował, przypominając obłąkańczą karuzelę.

"Potłukę te lustra, myślałem. To lustra pomnażają jej sylwetki, ona ma tylko jedną twarz, ona mnie kocha. To te lustra..." Pokój wirował, chwytakem się więc pierwszej lepszej postaci, stojącej najbliżej mnie i uspokajałem się powoli. Ale wtedy w jej oczach dostrzegłem dziesiątki innych twarzy. Wyzierały one z każdego lustra, które naznosiła przez lata, ^{naszej znajomości} ~~jaki~~ ~~znaliśmy~~ się. Nawet, kiedy otwierałem szafę, w każdej sukni znajdowałem ją inną. Tę samą, a inną zupełnie. Do przerażenia.

Pewnego razu spotkaliśmy się niespodziewanie na ulicy. Pamiętam, zostawiłem ją w domu i wyszedłem popatrzeć na cudze twarze. Bałem się tych luster, pomnażających codziennie jej twarz. Tęskniłem za twarzą obcą, autentyczną. Tylko obca twarz może być ludzka. Tylko w tym, czego nie znamy, możemy odkrywać rzeczy nowe i zbliżać się do upragnionego. Potem nadchodzi przesyt, ciężar posiadania, ucieczki. Może z obawy przed klęską uczeczki naznosiła tyle luster? — "Skąd się tu wzięłaś? Przecież zostawiłem cię w domu?" Myślałem, że mam halucynacje. Ale "halucynacja" roześmiała się

przymilnie. "Wyszłam, bo ciąży mi samotność. Dobrze, że ciebie spotkałam. Chodźmy czegoś się napić".

I wtedy zaczęło się to wszystko. Na ulicy nie było luster, lustra więc nie mogły być sprawcą mego nieszczęścia. To było coś innego. Do dziś nie wiem co. Może chwilowe odchylenie od normy, może niemądra ~~Waż~~^Żdrość, lub po prostu instynktowny niepokój samca przed zbliżającym się świętem rui? Widzieliście jak walczą jelenie o prawo wodzostwa w stadzie? Samiczki podziwiają silniejszych, samce upatrują najbardziej dorodnych łani... Kto wie, czy i my nie przeżywamy podobnych stanów? Podczas corridy rozhisteryzowane kobiety oklaskują zwycięskiego matadora, który przed chwilą przeszył szpadą serce oszalałego i oglupiałego byka. Gotowe są w każdej chwili poddać się mu, jak łanie zwycięskiemu samcowi. Podobnie reagują mężczyźni, wpadając w stan lunatycznej ekstazy podczas popisów nagich girls tańczących rytmiczne samby...

"Co tam mruczysz pod nosem", zapytała. "Myślę". "To myśl głośno w towarzystwie kobiety". "Dobrze, będę myślał głośno".

"Powiedz, czemu w każdym z nas mieszka kilku innych ludzi?" Irena uśmiechnęła się. "No, wyłóż tę swoją teorię, nie krępuj się, szybko!"

"Nowa teoria, mówisz? To, że ubieramy się codziennie w nowe maski i pozy, że nakładamy na siebie pozór, który przebiegle nazywaliśmy intelektem, że wymyśliliśmy w sobie duszę, sumienie? Że przystroiliśmy swoją kaleką osobowość w różne błyskotki i całe życie nadajemy im trwałą wartość? "Miłość", "przyjaźń", "wierność", "poświęcenie" itp. wielkie słowa - czyliż nie są przejawem naszego egoizmu, egocentryzmu, żądzy władania, posiadania nawet za cenę samozniszczenia? "Kocham ojczyznę. Oddam za nią życie. Ojczyzna mnie nie zapomni..." Kogoż więc kochasz? Ojczyzna jest abstrakcją. Konkretem? Nawet gdyby, Nic poza sobą nie kochamy. To nie za ojczyznę oddałbyś życie, a za siebie. Marzą ci się mity, wielkie

dokonania, sława... Chociaż - nie jestem pewien, czy nie plotę bzdurnych banałów. Gdyby wszyscy tak myśleli, do dziś płonęły by krematoria, wybywano by ludziom myśli w celach, w obozach śmierci, spędzano by jak bydło do gett i miejsc straceń... Przecież czymś się różnimy od zwierząt: myślimy, kochamy, nienawidzimy, poświęcamy się, świadomie dokonujemy wyboru..."

"Bajdurzysz, kochanie" powiedziała.

"Do końca życia będę ci wierną. Nigdy cię nie zdradzę. Kocham cię. Tss... wchodź ciszej, aby sąsiedzi nie słyszeli, mąż wyjechał na trzy dni..."

"C'est la vie", westchnęła sentencjonalnie.

Milczeliśmy. Może to tchórzostwo, ale nie bardzo mi się chciało wywnętrzać. Myśli jednak tłoczyły się natrętnie. Wielkie słowa była pretekstem: chodziło mi o Irenę, tylko o Irenę.

Zdrada. Co to jest w ogóle zdrada? Na przykład tamta pod ścianą też kiedyś przysięgała mężowi: oh, to była wielka miłość, wszyscy o tym mówili... Tyś też przysięgał. Do dziś jednak podnosisz wzrok na każdą wydekoltowaną kokotę... Co za świństwo! Kto wie, czy inny tak nie patrzy na Irenę? Czy ona z kolei nie podnosi wzroku na innego? Tfu, co za świństwo! Dlaczego świństwo? Czy odpowiadamy za to, co podświadomie dzieje się w naszych zmysłach? To one nadają ton i barwę naszym pragnieniom, to nie lustro. Jesteśmy od zwierząt przebieglejsi: myślimy. Instynktowi i zmysłom pomaga inteligencja. Tfu, co za świństwo, co za świństwo!

Szedłem z nią, ale widziałem ją u boku każdego mężczyzny. W oczach każdego przystojnego mężczyzny. Może jestem chory? Jestem pewien jej wierności.

Miała nozdrza mopsa, a oczy jak dwa ogniki. Widziałem, że mąż ją zdradza, że ma dziecko, że jest nieszczęśliwa, ale coś pchało mnie ku niej. Kocham Irenę, mówiłem. Ale widziałem dwa

węgielki: to nie były źrenice Ireny. Irena miała wielkie, głębsze. Może dlatego bardziej tajemnicze. Na pewno kochałem Irenę, tylko Irenę. Dlaczego więc widziałem tamtą w myślach ilekroć byłem sam? Tfu, co za świństwo!

"Ireno, nie gap się na przechodniów!" Spojrzała na mnie jak na wariata. "Po co uciekasz ode mnie?" "Ja?" W jej oczach dostrzegłem niepokój. "Czyś ty przypadkiem nie chory? Może masz gorączkę?" Wściekłość zalewała mi umysł. Ta przebiegła czułość, ta wyrafinowana kobieca zdolność wybrnięcia z sytuacji! "Po co naznosiłeś tyle luster? Nie wystarczy ci jedno..." "Co ty bredzisz?" Spojrzała na mnie z lękiem, a potem nagle zaczęła mówić cicho, tak cicho, że aż wydawało się, iż to jej myśli, nie słowa, wbijają się w moją świadomość. "Jesteś obrzydliwy! Kłócisz się ze mną bez powodu, uciekasz z domu bez powodu, oddalasz się ode mnie bez powodu... Może mnie już nie kochasz? Powiedz, to sobie pójdę..."

Ta twarz, ta twarz anioła z obrazu Rafaela! Kocham ją i nienawidzę, bo jestem bezsilny wobec tej miłości: spala mnie, pożera, niszczy. Nie mogę powiedzieć, abym był piękniejszy wewnętrznie: niszczy mnie brzydota zazdrości, niewiary, nieufności. A przy tym ten mops z rozdętymi nozdrzami! Te dwa rozżarzone węgle, które spalają mnie do bólu...Kto wie, może rzeczywiście to ja się oddalam? Szukam siebie w oczach innych kobiet i nie widzę. Jestem wciąż przy Irenie. Tylko dlaczego nie ma mnie w jej oczach?

"Nie ściskaj tak, boli! Coś taki brutalny? Mieliśmy odpocząć przy kawie, a kłócimy się o głupie przywidzenia". "Przepraszam, jestem świnia. Chodź zmienimy stół, tam zaciszniej, pamiętasz?"

To było dawno. Poznaliśmy się wtedy, kiedy umierała zielen. Może dlatego zbliżyliśmy się do siebie tak szybko. Może za szybko. Zawsze chciałem z szybkością myśli. Szybkość niszczy,

postarza. Były wtedy wrzosa i wśród nich zabrałem jej młodość. Minęły lata, znów kwitną wrzosa i nadspodziewanie często klócimy się ze sobą o rzeczy bylejakie. Co to się stało? Co to się stało?

Duszno jak w stajni. Wiek XX zepchnął kawiarnie do piwnic. Zapach kofeiny i zapach ziemi, stęchlizna i lawenda. Wilgoć i esy floresy mające propagować nowoczesną sztukę. Snobizm, nuda i pseudo namiętne dyskusje o sensie życia. Kiedyś tu całowaliśmy się, nie bacząc na nikogo. Dziś czuję tylko zapach kawy i nawozu. Nie, to nie perwersja, ani zwykła złość. Do cholery! Z którą z nich piję kawę? Jeśli siedzę z tą, z którą szedłem na ulicy, to tysiąc ich zostawiłem w domu, a inny tysiąc chodzi po tłocznych chodnikach, wpatrując się w oczy co bardziej rasowych samców...Boję się wyjść z tej kawiarni. "Ireno, czy to ty jesteś?" Zapytałbym, ale woje się, warknie jak na ulicy przed chwilą.

Do myśli wtłoczył mi się obrzydliwy strach: czy wyjdę z tą samą, z którą tu wszedłem? Wciąż mi się zdaje, że inną zostawiłem w domu, z inną spotkałem się w mieście, z inną tu wchodziłem, z inną siedzę, z jeszcze inną piję kawę, a kto wie z którą z nich znajdę się w domu? Szaleństwo? Oczywiście, oczywiście. Widzę jak dzieli się i mnoży, bo w tej przeklętej kawiarni są lustra. Wtedy ich nie było? A może tylko nie spostrzegłem? Na ulicy nie było luster? Były! Okna wystawowe opatrzone lustrami, setkami luster! Dlatego może mijalem tyle postaci Ireny: w każdej sekundzie podchodziła do mnie inna, ta sama, a inna. Nie wiem, ile razy przemieniła się w ciągu tych kilku minut, gdy pijemy kawę, wachając odór ludzkich ciał i dusząc się od wzajemnej nienawiści. Po co tu siedzimy? Boże, znów ten mops z rozpalonymi źrenicami! Chyba mam gorączkę.

"Nie rozlewaj kawy, mówi łagodnie Irena. Jutro pójdziesz do lekarza, bo coś z tobą niewyraźnie..." Strząsnąłem jej małą dłoń z obrzydzeniem.

Spojrzała na mnie z łagodnym przestraczem. Może myślę

się: podobna jest do tej, którą zostawiłem w domu. Ale skąd mam pewność, że nie odmieniła się już ze sto razy? Skąd wiem, czy nie siedzi przy tamtym stoliku z tym ^{facetem} gówniarzem w szkarłatnej marynarce? Proszę, uśmiechnęła się do niego, przewrotna! Jeśli nie z tym w szkarłatnej, to napewno wyszła przed chwilą z tamtym w prążkowanych spodniach. Widziałem, jak odprowadzała go do samych drzwi. O, kobiety umieją odmieniać się wspaniale! Proszę, w tej chwili jedna z jej wcieleń siedzi przy stoliku z tym amantem o typie alfonsa, druga uśmiecha się do faceta w szkarłatnej, trzecia wyszła z tamtym w prążkowanych, czwarta wyjechała z przyszczatym pikolem na week-end, piąta z niebieskim ptakiem wiruje w nocnym lokalu, szósta tuli się...

"Stłukłeś szklanę, co się z tobą dzisiaj dzieje? Wypiłeś? Masz gorączkę? Płacmy i idziemy, bo wszyscy się na nas gapią. Chodź!" Jej ręka jest mała i ciepła. Czuję ją na mojej dłoni. W jej oczach obawa X strach? Czuję, że jest mi zimno. Niczego prócz nienawiści nie ma we mnie. Wstała pośpiesznie i sięgnęła do torebki. "Ja płacę!" - warknąłem rzucając banknot zdziwionej kelnerce. Wszystko we mnie kotłowało się: lód z ogniem, febra z mściwą satysfakcją. Boi się, myślałem, czuje się winna, ach gadzina! "Czego drżysz kochanie. Jesteś błydy i spocony, może weźmiemy taksówkę?" Przytuliła się do mnie jak gdyby nigdy nic.

Do domu wchodziłem jak ^{by} ~~gdyby~~ nie na swoich nogach. Zwaliłem się na łóżko w ubraniu. Spać, zasnąć, zapomnieć o wszystkim. Ale Irena zaopiekowała się mną, ściągnęła ubranie. Była cicha, łagodna, smutna. Przewrotna, doskonale przewrotna kobiecość! Chciałaby zatuszować swoje kłamstwa udawaną troską o moje zdrowie! Jestem zdrów jak ryba. Tylko te lustra. Te przeklęte lustra! ^B Noże, gdzie Irena? Znow ten mops z rozdętymi nozdrzami, tylko oczy ma Ireny, a może mi się to wszystko majaczy? Nie wiem, czy jest tą sa-

197

nią, z którą siedziałem w kawiarni? To te lustra. Wszystkiemu winne lustra. "Co robisz, przestań!" "Stłukę je, to one zabrały mi spokój, nie mogę żyć z tysiącem twoich wcieleń, wszystko wokół mnie wiruje i mnoży się, ty nie jesteś ty, to chyba szaleństwo, albo lustra, na pewno lustra..."

Kosmate potworki pełzły do mnie z każdego kąta, a całe ściany, podłoga i sufit były lustrzane. Krocie głów Ireny wyzierały z nich i wirowały w zawrotnym tempie. Potem wszystko zastygło, tylko ona wyszła z tych roziskrzonych czeluści, tocząc przed sobą lustro. Lustro wykrzywiło ohydnie gębę, poczem wchłonęło w siebie Irenę i zaczęło z nią tańczyć po całym pokoju. Drżąc, wyciągnąłem rękę. "Co robisz wariacie?" - krzyczała lustrze z Ireną, leż spokojnie, skaleczysz sobie rękę, co robisz, Boże!"

Pochyliła się nade mną, zapłakana. Leżałem w łóżku i czułem piekielny ból dłoni. Spojrzałem i przeraziłem się: rękę miałem zabandażowaną, w pokoju unosił się mdły zapach jodu i jakiejś mieszaniny medykamentów. Głowę miałem rozpaloną i coś tłukło młotami, tysiącem młotów. "Leż spokojnie, mówiła Irena, lekarz zalecił ci spokój. Byłeś bardzo chory, tak bałam się o ciebie..." Patrzałem na nią bezradnie. "A lustro" zapytałem. "Stłukłeś, nie mogłam cię ^{prze}utrzymać". Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Bardziej niż nieprzyjemnie: jakieś mieszane uczucie wstydu, winy i onieśmienia przedzierało się przez obolałą świadomość. Irena zaczęła się ubierać. "Wychodzę do miasta. Za pół godziny wrócę. Muszę kupić lekarstwo". Ale zawróciła od drzwi: "Nie martw się, kochany, mówiła poprawiając poduszki, po prostu miałeś gorączkę, krzyczałeś i rozbijałeś lustro. Głupstwo, kupiny nowe. Lekarz mówił, że z miesiąca poleżysz, bo skaleczenie jest paskudne; musiał zszywać... Gdzie masz lusterko? W marynarce? Dziękuję. Nie denerwuj się, zaraz wracam..."

Pokój chwiał się pode mną jak kadłub kołyszącego się na morzu okrętu. Byle tylko znów nie zaczęło się to wszystko...Ale proszek podziałał kojąco.

Ostrożnie podniosłem się i obmacałem dłoń: żadne urządzi-
łem się, nie ma co! Nagle ściana podsunęła mi pod oczy pustą ramę,
w której przed godziną jeszcze płasało wraz z Ireną lustro. Rama
wykrzywiała się szyderczo. A potem wolno, bardzo wolno zaczęła
schodzić na ziemię, mnożyć się i olbrzymieć. Czuję, że jeszcze
chwila, a rzuci się na mnie tysiącem obřeczy...

Walka była nierówna. Sto ram dogorywało w drzazgach i
strzępach, ale sto innych czepiało się rąk, nóg, szyi. Zwolna
traciłem siły, oddech, przytomność. Wtem weszła Irena.

Irena? Nie, to był światowid o czterech twarzach. Przywoła-
ła wszystkie odłamki szkła, ustawiła w lustrzany taran najeżony
ostrzami i pchnęła w moją stronę.

Chciałem osłonić twarz, ale potężna bryła krajała mnie na
drobne kawałki. Leżałem więc na środku pokoju, spływając krwią,
nieczuły na ból, nieobecny w sobie. Widziałem jak do pokoju wcho-
dziły róże, ale byłem tak obojętny, że nawet nie uśmiechnąłem się
do nich. Dopiero kiedy zapłakały nad moim okrucieństwem, otworzy-
łem oczy.

"To dla ciebie, rzekła Irena, poprawiając w odłamku
szkła makijaż. Proste z ogrodu. Ładne?"

Nic z tego nie rozumiałem. Widziałem tylko jak róże
jedna po drugiej przybierają twarz Ireny i podają mi usta do
pocałunku. Kiedy dalej nic nie rozumiejąc zagarnąłem je wszystkie
i zacząłem całować, zobaczyłem, że to nie była twarz Ireny.

Przede mną wirował stary, cuchnący grzyb, w którym
zaledwie rozpoznawałem rysy zbliżone do wizerunku Ireny.